

Aleksandra Igras

Farciarze

Teraz. Pogrzeb Krystiana

Jesień dżdżyła. Ostatnie dni września, wcześniej letniego, przyniosły złą wiadomość i załamanie pogody. Było rzewnie. Aura współgrała z bólem mieszkańców Dąbrówki. Ich twarze szpecił identyczny, udręczony grymas. Tak jakby jedna uporczywa i wspólna myśl błędziła nad trumną Krystiana. Z początku obywało się bez dramatycznych scen. I tak zostaloby do końca, gdyby nie Sabina.

Sabina – wysmukła, długowłosa blondynka – nosiła bardzo krótkie spódnice. Niezależnie od panujących mód, pór roku i sytuacji. Zawsze. Trwała przy tym odosobniona, nieco karykaturalna. I tamtego dnia oczy wszystkich, nawet matki Krystiana, zwróciły się na jej przepiękne nogi – dygoczące, choć przyobleczone w grube, czarne rajstopy. Sabinę po cichu wypełniał żal, aż w końcu na pogrzebowy orszak spadła kaskada jej zawyc i szlochów.

Mieszkańcy Dąbrówki bez słowa oglądali spektakl Sabiny. Nawet proboszcz stał oniemiały. Liczył na to, że wszystko potoczy się bez niepotrzebnych ekscytacji. Po pierwsze, bo aplikacja „Pogoda” w jego telefonie przepowiedziała tę psią aurę, a proboszcz mimo „mocno słusznej” postury był dość chorowity, a po drugie – później miał się odbyć ten drugi pogrzeb.

Sabina zawodziła. Pierwszy odzyskał rezon Mietek od Wszelakich. Przywołał swoją córkę, Karinę, która uczepiona paska z klamerką przy kurtce dąbrówkiej płaczki, próbowała swoim łkaniem zasłużyć na miano jej następczyni.

– Karina! – warknął Mietek. – Cho no tu! I to już!

Dziewczyna wyglądała jak wybudzona z letargu. Zamrugła przesadnie wytuszowanymi rzęsami i tylko poluzowała uścisk dłoni na sabinowym pasku. Mietek zmierzył ją krytycznym spojrzeniem i pomyślał, że jego Karinka prezentuje się kuriozalnie przy Sabinie: jak mały, czarniawy grzyb. Zreflektował się jednak, że tak nie wypada o własnym dziecku. Podejrzewał, że i jego córka nie pozostała obojętna na urok tego cholernego Krystiana. Splunął dyskretnie w bok. O zmarłych albo dobrze, albo wcale – przywołał się kolejny raz do porządku.

– Cho no tu! – zawarczał na córkę ponownie, po czym dodał ściszym głosem: – Chalira jasna by to wzięła. To ty nie wiesz, że czas już kończyć tę szopkę? Tamte zara przyjdo.

Karina posłusznie przesunęła się do ojca. Pociągnęła nosem, wytarła rozmazany tusz i przyjęła neutralny wyraz twarzy. Mietek szybko zajął zwolnione przez nią miejsce, chwycił Sabinę za łokieć, potrząsnął nim i powiedział jej coś stanowczo wprost do ucha. Jego oblicze stężało, a rozżalona Sabina znieruchomiała, tak jakby Mietek nacisnął w niej guzik pauzy.

– Dobra, chłopaki, zasypujem! Bierzem! Ej! – krzyknął do trzech wyrostków.

Namówił Halinę – matkę zmarłego – żeby nie przeplacała za grób murowany. Przekonywał ją do tego dwa dni wcześniej:

– Hala, bierz pieniądze z ZUS-u. Z proboszczem się zagada. Może co spuści, choć lasy na kasę. Ja z Wierzbickimi wykopię dla Krystiana ziemny grób, bo co mu tam za różnica... No, a za to pomnik mu ładny zrobisz. A resztę se zostaw. Przyda się...

Chwycili za łopaty. Szło opornie. Sztychy grzęzły w gliniastej, lessowej ziemi, dodatkowo namokniętej od deszczu. Brązowożółte kopczyki padały na jasną trumnę. Jeden wyrostek mocował się ze zbyt głęboko wbity w ziemię łopatą – za dużo chciał na raz podnieść. Przegrał z zasadą dźwigni i poślizgnąwszy się, zabrał nogą trumienną tabliczkę. Mietek złapał wyrostka za polny sportowej, czarnej kurtki. Tabliczka spadła i wbiła się w dopiero co zrzuconą na trumnę grudę gliny.

– Chuj by to strzelił! – zaklął pod nosem Mietek, na tyle jednak głośno, że aż odwrócił się proboszcz kroczący z powagą do cmentarnej furty.

„Mój Boże, kiedyż to się wreszcie skończy!” – skwitował ksiądz w myślach i wznosił oczy ku niebu, z którego nakapało mu na jego obrzmiałą, niby rumianą, a jednak chorowitą twarz.

Mietek ofiarnie zeskoczył do dołu. Cały się ubłocił. Wziął tabliczkę, wdrapał się z powrotem i rękawem kurtki zaczął ją wycierać. Tłumaczył się sam przed sobą, że i tak

ma już uwalone całe odświętne ubranie. Zatrzymał wzrok na czarnych literach na białym tle: „Krystian Krakowiak, żył 27 lat, spoczywaj w pokoju”.

– Dziękuję, Mieciu. Dziękuję – usłyszał słaby, kobiecy głos. To była Halina.

– No, Hala, musim się zbierać. Bo to... wiesz. Tamte już się pewnie gromadzą – odpowiedział jej i machnął bezradnie ręką. Kątem oka zauważył kolejkę do składania kondolencji.

Wtedy (dwadzieścia lat wcześniej). Tamte

Zaczął się od muzyków. Przyjechali we trzech. Mały siwy, większy z kitą włosów na głowie i ten nijaki. Nie było z nimi najbardziej znanego – solisty zespołu. Wysiedli z hippisowskiego busa marki Volkswagen. Mały siwy obstukał obcasy kowbojek o świeżo wylany asfalt. To była spora gminna inwestycja. Mieszkańcy Dąbrówki zabiegali o tę nitkę drogi dobre dziesięć lat.

Mietek Wszelaki korzystał tego dnia z uroków późnej wiosny i z ogromną przyjemnością pedałował po nowej asfaltowej szosie zdezelowanym składakiem Wigry 3. W szmacianych torbach zaczepionych symetrycznie o kierownicę pobrzękiwało osiem „perełek”. Jechał do Haliny, młodej wdowy po Bolku Krakowiaku. Z Haliną znali się jeszcze z podstawówki i zawsze mieli się ku sobie. Dzielili również zamilowanie do lokalnych wyrobów browarniczych – zamilowanie obce małżonce Mietka, Celinie.

Zauważył przybyszów z daleka. Trzy majaczące nieznanome sylwetki. Był przekonany, że jedna z nich należy do kobiety, wprawdzie dosyć barczystej i wysokiej, ale za to z nobliwym kokiem na głowie. Aż zahamował, gdy jego oczom ukazała się męska – nadszarpięta zębem czasu i estradowym życiem – twarz właściciela koka. „Perełki” w siatce niepokojąco uderzyły o siebie. Mężczyzna od koka założył ręce i stał niewzruszony niczym wódz Apaczów. Za to jego towarzysz – mały siwy – podskoczył jak w oberku i stuknął obcasami kowbojek. Potem w geście powitania rozpostarł szeroko ramiona i rzucił w stronę Mietka wesołe spojrzenie. Pasowało ono tą wesołością do kwicistej koszuli, którą miał na sobie. „No tego jeszcze u nas nie było” – pomyślał Mietek i pokręcił głową z niedowierzaniem. – „Chyba pedały, jak to mówią”.

– Gospodarzu? – zagaił Mietka mały siwy od kowbojek.

W jego głosie Mietek wyczuł protekcyjność. „A skąd on, kurwa, wie, że ja gospodarzę? Bo po wsi ro-

werem jeżdżę?” – zastanowił się, po czym fuknął na niego z irytacją:

– Co jest, co jest! Jak już, to może lepiej „proszę pana”?!

– Eee... jasna sprawa. Wie pan, kto jest właścicielem tych działek? – Siwy wskazał palcem w kierunku doliny sąsiadującej ze „starą wsią”. – Tych od tej szosy do rzeczki?

– Może i wiem. A co?

– A to, że byśmy chcieli je kupić. Domy będziemy sobie stawiać. I nawet, szanowny panie, studio nagrań!

– Tutaj? – Mietek wzruszył ramionami. – Przecie tu same pola. Traktory głównie po szosie jeżdżą i kombajny. Duże uprawy tutaj. We wsi to się rozumie. Ale we wsi to wam nikt nie sprzedaje. – Obrzucił dziwaków pogardliwym spojrzeniem, jego wzrok zatrzymał się chwilę na koku.

– Proszę pana – siwy celowo przeciągle wyartykułował zwrot grzecznościowy – wie pan czy nie?

– Do Górskiego.

– A gdzie tego Górskiego można zastać?

– Panie, ja za Górskim nie lażę. Ja swoje honory mam! Z Górskim to już tylko bracia Mazury piją i szczają pod siebie. Pewnie leżą pod chałupą. O tam, za tym sadkiem. – Mietek wskazał widoczne w oddali rachityczne stare grusze i śliwy.

– Ha! – Siwy znowu stuknął obcasami i aż przyklasnął z zadowolenia. – Panowie, szczęście nam sprzyja! – zwrócił się do współtowarzyszy. – Coś czuję, że z panem Górskim szybko się dogadamy. – Wykonał charakterystyczny gest uderzenia kantem dłoni o szyję. Po szosie poniósł się ich męski śmiech.

Mietek zdębiał. Wsiadł na rower i z tego chwilowego pomieszania zmysłów pojechał w przeciwną niż planował stronę. Po namyśle stwierdził, że nie zawróci, bo się ośmieszy. Zmuszony był zrobić wielkie kółko – objechał wieś, by potem stromym lessowym wąwozem dotrzeć do Haliny. Mieszkała na szczycie wąwozu.

Tym sposobem po raz pierwszy w życiu zobaczył swoje rodzinne strony. Wcześniej tylko patrzył, ale nie widział. Było jak było. Otaczającą rzeczywistość przyjmowało się jako coś oczywistego: chałupy w większości murowane, bo ziemia żyzna; podwórka z porzewiałym sprzętem rolniczym, bo już niektórym znudziła się gospodarka i jeździli do roboty do Lublina; wąwozy lessowe z wielkimi wystającymi korzeniami drzew, przywodzące na myśl jakąś pozaziemską scenę; doliny trzech rzeczek, wśród nich ta, gdzie babka Mietka na tarze prała dziadkowe koszule;

renesansowa baszta po Firlejach; nocne ujadanie zawsze złych psów; sarny na polach; wszędobylskie przyglupawe bażanty; stado półdzikich koni pasących się w dolince – pozostałość po hodowli Bratkowskiego. A to wszystko tylko dziesięć kilometrów od lubelskiej poczty głównej.

Mietka ołsniał ten widok. Nie silił się jednak na górnotne przyrównania. Ale za dwadzieścia lat niejednokrotnie będzie świadkiem jak tamte nonszalancko wymieniają nazwy dalekich zakątków: włoskich i francuskich. Będzie obserwował, jak parkują swoje SUV-y przed wybudowanym dla nich marketem „półki premium” i jak witają się z nowo przybyłymi z tamtych: „Kogo ja widzę! To ty też się wybudowałeś w Dąbrówce? No ale sam powiedz, to nasza podlubelska Toskania... Prowansja, mówisz. Ach, no tak, ty mieszkasz przy tych urwanych zboczach. Może i Prowansja”. Będzie widział, jak niby od niechcenia rzucają siedmiocyfrowymi kwotami, spieszczając je: „Daj spokój, ja nie taki krezus jak ty, ja za swoją chałupinkę tylko dwa milionki dałem”.

I niestety Mietek w końcu będzie zmuszony sprzedać za pół milionka swoje idealnie kwadratowe pole z najurodzajniejszymi w okolicy porzeczkami. Sprzeda jednemu z tamtych, by Karinka mogła uszczknąć sobie na mieszkanie w mieście. Bo Karinka do końca życia pozostanie naiwna i w swych sercowych porywach wyjdzie za miastowego, leniwego gołodupca.

I tylko jeden jedyny raz Mietek zrobi użytek z zasłuchanej rozmowy tamtych, kiedy w markecie będą się sprzeczali o zakup ostatniej butelki wina z tej ich Prowansji czy Toskanii. Mietek wtedy zamknie im usta i ich spór. Znienacka przejedzie między nimi sklepowym wózkiem. Będzie głuchy na ich burknięcia, żeby uważał, bo któremuś skórzanego mokasyna drasnął. Zapakuje do wózka ową cenną butelkę – nawet nie spojrzy na cenę – i odjedzie w stronę kas. To będzie za dwadzieścia lat, w przeddzień pogrzebu Krystka.

Wtedy. Halina i Mietek

Mietek zasapał się u szczytu wzniesienia, na którym stał dom Haliny. Zsiadł z roweru i doprowadził go do bramy. Pies na łańcuchu wystrzelił jak na huk startera. Od wściekłych klów dzieliło Mietka pięćdziesiąt centymetrów. Niezjący gospodarz Bolesław – mąż Haliny – z sadystyczną precyzją odmierzył długość łańcucha od budy do bramy. Pół metra: tyle ten skurwiel Bolek zostawił zapasu – podsumował go refleksyjnie Mietek.

Zdawało się za każdym razem, że pies naprawdę wierzy w to, że wreszcie mu się uda, że w końcu z tego łańcucha się zerwie i rozszarpie mietkową grdykę. Gdyby nie rower i zawieszona na nim siatki, Mietek jak zwykle obiłby psa drągiem albo rzucił w „bydlaka” kamieniem. Zwierzę i on żywili do siebie najczystsza formę nienawiści, odczuwali potrzebę mordy. Mietek tyle razy obiecywał sobie, że podrzuci mu kawałek kielbasy ze strychniną.

– Kuras! Kuras! Dobry pies, pieseczek!

Do psa mordercy podbiegł wyrosnięty ośmiolatek. Był brudny od stóp do głów. Uwagę przykuwała czupryna ciemnych, zmierzwionych loków. Chłopiec wtulał się w swojego pupila, a loki kontrastowały z jasną sierścią Kurasa. Znad psiego łba błysnęło złowrogie spojrzenie dziecka.

– Krystek, pilnuj go, kurwa, pilnuj, bo nie ręczę za siebie! – zrugął chłopaka Mietek. – Pierdolony pies – zakończył wściekle.

Mały nic nie odpowiedział, tylko tym samym nienawistnym wzrokiem odprowadził Mietka do wejścia do domu. Mietek z impetem odgarnął sznury koralików wiszące w świetle drzwi.

– Hala! Ukręcę łeb temu Kurasowi, a zaraz potem Krystkowi! Jak Boga kocham.

– Daj już spokój, Mietek! Chłopak ojca stracił, psa ma! Co się czepiasz!? Zresztą, jak ci się mój syn nie podoba, to fora ze dwora! Po co żeś tu znowu przylazł? Celina ma drugą zmianę na taśmie?

– O, jaka przekłeta, zeźlona! A tydzień temu inaczej śpiewałaś.

Podszedł do Hali, złapał ją w pasie, odwrócił tyłem do siebie i przyłgnął do jej szerokich bioder. Odepchnęła go z udawaną złością.

– No to co? Masz jakiego gościńca czy żeś z pustymi rękami przyjechał?

Przy trzeciej „perelce” byli już w jak najlepszej komitywie. A gdy przeszli na halową berbeluchę, ich miłość rozkwitła na nowo. Halina zawsze trochę się wzbraniała, ale od czternastego roku życia pragnęła Mietka jak nikogo na świecie. Bolek był piękny, to prawda – Mietek nijak mógł się z nim równać. Ale za to mąż Haliny w materii wzrodu był „cienkim Bolkiem” – dosłownie jak w tym powiedzeniu – a do tego jeszcze, kiedy w rok po urodzeniu Krystiana spadł okrakiem na rurę rusztowania, o jakichkolwiek kontaktach erotycznych między małżonkami nie mogło być już mowy.

We wsi dziwili się, że Hala, taka dorodna, tylko jednego Krystianka wydała na świat. Prawdę знаła ona, Bolek i Mietek. Romans Mietka i Haliny rozgorzał parę miesięcy po zaniemożeniu Bolka. Wtedy na nowo Mietek i Halina przypomnieli sobie to, co w ostatniej klasie podstawówki odkryli na gumowym materacu w szkolnej kanciapie przy sali gimnastycznej.

Potem nie musieli już niczego odkrywać. Wiedzieli. Halina prawie zawsze chciała, żeby Mietek posiadał ją od tyłu, na stojąco. Czasem z zadartą na plecy sukienką. Czasem, pod nieobecność Krystiana, przy wejściowych drzwiach, w sieni, w zagajniku za domem. Wszędzie. Mrużyła oczy i przypominała sobie tamto laskotanie między nogami, kiedy jako dwunastolatka podglądała na łące spółkujące konie Bratkowskiego. Raz jeden, w wyniku mieszanki dziwnych, przeciwstawnych uczuć, do których dołączyło przemożne podniecenie, Mietek nakreślił perliste ślady nasienia na kuchennej ścianie. Nigdy nie czuł się tak nieszczęśliwy jak wtedy, kiedy obserwował,



Zuzanna Januszko / PLSP w Supraślu

jak wtapiały się w wymalowane walkiem jasnobrązowe wzorki. Tak oznaczył swoim DNA wytarte, brudne tynki halinowego, owdowiałego domu.

Ślub Hali i Bolka był dla Mietka ciosem, dlatego szybko się ożenił. I w rok po jego weselu Bolek zginął tragicznie. Drogi jego i Hali niefartownie się rozmięły. Żonaty i wdowa.

Wtedy. Górski

Muzycy panoszyli się po okolicy w najlepsze. Ich konkwiśta Dąbrówki rozpoczęła się z przytupem i była dla autochtonów takim samym folklorem jak oni dla tamtych. Najpierw wzięli pod włos Górskiego. Jak na miastowych, mieli wyjątkowo pobłażliwe podejście do wiejskich pijaków. Ta fałszywa pobłażliwość stanowiła przykrywkę dla interesu. Muzycy umieli Górskiego podejść.

Górski był przywiązany do swoich stron: wawozów, pagórków i wstęgopatych pól uprawnych. Fakt, do roboty nijak się nie palił. Żadnej. A do gospodarki – najmniej. Od dziecka byłznaczony. Jak go ze szpitala przywieźli, to babka, zajrzawszy do betów, na jego uwiędłej wczesniaczej twarzyczce dostrzegła spore czerwone znamię na środku czoła.

– Un jakiś oznaczun – zmartwiła się.

Jego ojciec mętnym, zapitym wzrokiem próbował dostrzec owo znamię, ale zbyttno ostatnio świętował na poczet narodzin pierworodnego i mieniło mu się w oczach. Z kolei dziadek Górskiego znany był z tego, że niewiele się odzywał, a jak już, to słowa te kasały. Był człowiekiem surowym i nieczułym. Mimo posiadania wielu żywnych mórg wyróżniał się wybitnym skąpstwem.

Dziadek potłukł się chwilę przy kuchni. Hałasował, przekładając fajerki. Złościł się na małżonkę, że zamiast polać mu barszczu – tak jak to zawsze, bez wyjątku czyniła – bachorem się zajmuje. I to jeszcze od tego syna. Dziadek Górskiego o wszystkich miał złe zdanie, ale o tym synalku najgorsze. Ojciec Górskiego już jako piętnastolatek migal się od roboty, tylko wiecznie wódkę i karty kombinował. Łać już się go bardziej nie dało, to jak dwudziesty pierwszy rok mu przyszedł, dziadek pogonił go z domu wprost w żeniackę. Zalałwil mu też robotę w cegielni.

Dziadek pchnąwszy łyżką w blaszaną miszkę, roz-bryzgał barszcz. Z impetem odsunął syna i rzucił okiem na wnuczę.

– E tam oznaczun! Un już na pijoka wygląda. Pijok bedzie i tyła! Jak tatuś.

U Górskich już tak było, że albo pijaki, albo farciarze się rodzili. Ci drudzy Górscy życiowo radzili sobie świetnie: dorabiali się majątków, zdobywali profesorskie nominacje, budowali miasta, konstruowali maszyny, byli właścicielami azjatyckich fabryk i praw autorskich do aplikacji na smartfony. Ci drudzy Górscy nie byli już z tych, a z tamtych. A t a m t e nie chciały mieć za wiele wspólnego ze swoim naznaczonym kuzynem. Wiele lat potem tamte Górskie powróciły z miasta, by pobudować w Dąbrówce swoje opasłe, nieprzyzwoite wille. Ale i tak nie było wśród nich żadnego poety.

Poetą okazał się ten ze znamieniem na czole, a przynajmniej on sam czuł się poetą. Niestety, tak jak dziadek mu wyróżzył, dość szybko został pijakiem.

Górski miał inne, wsobne widzenie świata. Coś w nim drgało. Nijak nie umiał tego wyrazić. Każdy nietypowy podmuch wiatru kierował go do niecodziennej refleksji. Nie potrafił objąć tego rozumem. Każda zmiana pogody zasługiwała na inną tkliwość, inną uwagę. To było i w nim, i poza nim. Bliskie i dalekie. W miarę wcześniej – bo już w siódmej klasie podstawówki – odkrył urok taniego wina, które wraz z pierwszymi łykami mamilo słodyczą, a na koniec zęgnęło się z nim siarczaną zgrzebnością. To alkoholowe rozgrzanie trzewi przynosiło mu ulgę i uczyło pokory wobec wszystkich i wszystkiego, co w życiu napotykał.

Było w Dąbrówce urwiste lessowe zbocze, które z daleka przypominało do złudzenia nadmorski klif. Górski w swych długich alkoholowych wyprawach ciągnął do tego klifu jak lunatyk do pełni księżyca. Docierał na szczyt chwiejnym chodem. Siadał na skraju, nogi mu dyndały nad przepaścią tak, jak u dzieci na trzepaku. Wciągał do płuc wilgoć wczesnej jesieni i zmierzchu. W tej mieszaninie wyczuwał matowy zapach butwiejących rdzawych liści, niemal nieobecny i słodki – żółtej nawłoci, duszący – dymu idącego z pól, iryтуюco kwaśny – buraczanych obrzynków, i ten słomiany – minionego lata. Dodawał do tego bukietu zapach wielkiej, szerokiej rzeki. Tej, którą widział na jedynej w swym życiu wycieczce szkolnej do Kazimierza Dolnego. Zapamiętał z tej wycieczki, że on, mieszkaniec Dąbrówki, przynależał do wielkiej rzeki przepływającej przez Krainę Lessowych Wąwozów. Kraina ta zaczynała się u stóp dąbrówckiego zbocza. Przymyślał oczy, pochylał się nieostrożnie do przodu i za chwilę „leciał”. Kotłowały mu się w głowie obrazy o jaskrawych barwach i kanciastych kształtach.

Wynurzały się z nich kontury siedlisk zamkniętych w półokręgi i prostokąty. Leciał i bezbłędnie je rozpoznawał: to siedlisko Wszelakich, tamto Krakowiaków, a to tutaj – z okręgiem studni – jego babki – jedynej, która go kochała. Tę miłość do niego wynosiła wieczorem w blaszanej kance skrywającej mleko, chłodzące się potem w wodzie studni. Górski – gdy wracał nad ranem ze swoich dalekomorskich rejsów – cieszył się na to zimne mleko, które jak nic innego potrafiło ukoić skacowany przełyk. Teraz – jeszcze chwilę poszybował nad studnią, a po chwili przysypał ją puder piasku niosącego się z nadbrzeżnych rzecznych wydm. Nie, ten piasek to nie puder, to ostre kamyczki. Właśnie wciskają się do jego oczodolów. Są kłujące, niepotrzebne...

– Górski, obudź się i idź do chałupy. Ty chyba chcesz się w końcu stąd spierdolić! – Mietek wracający o brzasku od Haliny klepał Górskiego po ramieniu; musiał zdążyć przed szóstą, nim dzieci wstaną, a Celina wróci z nocnej zmiany.

Górski zawsze podnosił się posłusznie i bez słowa oddalał w stronę domu babki. Mietka ten widok fascynował – widok Górskiego zwiniętego w embrionalnej pozie, śpiącego na skraju urwiska. Bładym świtem. Biła od tego widoku ostateczność. Granica nocy i dnia; życia i śmierci. Misterium.

Wtedy. Górski i bracia Mazury

Górski i bracia Mazury byli dąbrówceckimi wędrowcami. Młodszy Mazur wędrował zawsze szosą na Nałęczów, dalej polem mietkowych porzeczek i wąwozem przy domu Haliny. Ten ostatni odcinek był dla wszystkich wspólny. Górski obowiązkowo zaliczał klif i wracał główną drogą do domu babki, a starszy Mazur odbijał na wschód do dolinki Bratkowskiego i stamtąd powracał do sadku za domem babki Górskiego.

Nałóg trzech wędrowców był w ciągłym ruchu. Nikt nie wiedział, czy sobie na ten temat doradzali, czy leżąc w sadku otumanieni alkoholem, kiedykolwiek poruszali wątek swoich pijackich wędrówek. Najprawdopodobniej był to dla nich zarówno temat tabu, jak i na tyle oczywisty, że niewart poruszenia. Nie zastanawiano się nigdy nad tym, kiedy ich nałóg miał swój początek. Bardzo wczesnie, co do tego nikt nie miał wątpliwości. Ale patrząc na tych zniszczonych, zmurszałych mężczyzn, najprawdopodobniej stosunkowo młodych bądź co najwyżej w sile wieku, trudno było w nich dostrzec niegdysiejszych

dziewięcioletnich chłopców. A przecież kiedyś byli nimi na pewno i w Dąbrówce każdy z nich sypał płatki bladurówkowych petunii w białym tygodniu tuż po pierwszej komunii. A wcześniej, na śpiących wędrowców w niemowlęcych kołyskach spoglądały z miłością czyjeś oczy. Tak musiało się dziać. Nie byli znajdami. Byli stąd, z tych pól, wawozów, z tych dolinek trzech rzeczek. Z tych ludzi.

Ta nieustanna potrzeba ruchu, a raczej bycia w ruchu, zapewniała im namiastkę kontroli nad zalewającą ich mózgi i wnętrzości falą etanolu. Resztkami lub urywkami świadomości dostrzegali stale punkty codziennych wypraw i zostawiając je za sobą, odhaczali jak sprawunki na liście zakupów. Panowali nad tymi punktami, tak jak nad zapewnieniem sobie ciągłych dostaw alkoholu. Cała reszta była życiem równoległym – trochę wyższym, trochę koszmarnym.

Każdy z nich miał swoje miejsce poboru: sklep koło stacji z gazem przy szosie nałęczowskiej, garażowy sklepik w centrum wsi albo punkt gastronomiczny przy świetlicy GOK-u. Pod koniec lat sześćdziesiątych ten punkt szumnie ochrzczono klubokawiarnią. Dąbrówczanie dostali wyremontowane pomieszczenie z żółtą boazerią do połowy wysokości ścian. Wtedy po raz pierwszy próbowano zadzierzgnąć znajomość z miastowymi obyczajami.

Za białą ladą wystawienniczą, na której zawsze stały trzy puchary trzydniowego kremu sultańskiego i odwieczny sękacz – równolatek klubokawiarni – stanęła matka Mazurów. W pięknym śnieżnobiałym fartuchu przeglądała „Przyjaciółkę”, a czasem z nudów „Poznaj Swój Kraj”. Klubowicze płci męskiej nie mogli oderwać od niej wzroku. Gruba kreska na powiekach i kruczoczarna grzywka upodabniały ją do Karin Stanek, a kawiarniany strój nadawał jej powagę i romantyczność innej ulubienicy ekranu – doktor Ewy.

W klubokawiarni zawrzało. Niezliczone szklanki w wiklinowych koszyczkach, z brunatnym miałem w środku, napełniały się gorącą cieczą spod zwinnnych palców matki Mazurów. Dąbrówceccy młodzieńcy pić lubili, to z przyjemnością zamawiali kolejki kaw, aby móc dłużej zabawić przy kontuarze. Rekord padł, kiedy ojciec Mietka zamówił siódmą kawę. Niestety w międzyczasie raczył się solidnymi łykami wódki stołowej. Ostatecznie dostał „pikawy” i jego współtowarzysze musieli odwieźć go na furze do ośrodka zdrowia. Nie stawał już w konkury do matki Mazurów, ale w przyszłości, kiedy dowie

się, że synowa chce dać jego wnuczce Karolina na imię, przekona ją do Kariny.

Dąbrówceccy mężczyźni do klubokawiarni ani do kawy się nie przekonali. Po pierwszych wygranych bitwach ostatecznie atak miasta został odparty. Za to wiele lat później muzycy z Lublina przekonali „poetę” Górskiego do sprzedaży siedliska po babce i dwóch hektarów pola. Podobno wyczuli w nim „uduchowienie” i zaczęli wabić twórczą współpracę.

Zabierali go swoim busem do centrum miasta, gdzie w stylizowanej na Młodą Polskę knajpie raczyli koniakiem. Górskiemu niespecjalnie ów trunek smakował, ale cenił czyhający w jego złotawej barwie wigor. Z początku rozglądał się nieśmiało, na zmianę pochylał i prostował. Samoświadomość niedostatków budziła się w nim nagle, jak w każdym człowieku, któremu odebrano, co znane, wyrwano ze swojego środowiska i bez jego wiedzy gdzieś wstawiono – jak zdezelowanego Kena do pałacowej komnaty w domku zarozumiałych, wyfiokowanych lalek Barbie.

Górski zauważał swój sfatygowany ubiór, swoją niechlujność, brudne rękawy kurtki, rozdeptane i zabłocone ni to trzewiki, ni to pantofle, a jak bliżej przyjrzał się odbiciu w lustrzanej ściennnej mozaice, to dostrzegał żółtawy mech na uzębieniu i włosy obsypane małuskimi śnieżynkami – dwa zaskakujące go zjawiska przyrodnicze.

Ale jak to u Górskiego, rozważania jego ulecą wprost do rozświetlonych kryształków knajpianego żyrandola. Złocisty płyn wkrótce rozświetli wnętrze Górskiego, które jak ulał dopasuje się do blichtru sali bankietowej, pięknie wyłobionych karafek, błyszczących zębów współtowarzyszy. Już wkrótce Górski stanie z tym wszystkim w korowodzie. Zrzuci słomiane okrycie, zapomni o zapachu lata, o kłifie i o lotach. Znajdzie się przed zatartym obrazem człowieka ciężkawego – siedzącego za ciężkim meblem i opasanego ciężkim materiałem marynarki. Górski z dziwną lekkością na duszy podpisze w jego obecności akt notarialny. On sercem, a tamten szkiełkiem i okiem przypieczętuje sprzedaż spadku po babce Górskiego.

Za jedną trzecią rynkowej wartości.

Majestat urzędu i rozsądek notariusza zabezpieczą Górskiemu służebność mieszkania i pozwolą żyć w domu babki. Z czasem ta sąsiedzka obecność Górskiego będzie solą w oku okolicznych tamtych. Będzie to konflikt natury estetycznej.

Górski, rzecz jasna, ani konta bankowego, ani tym bardziej karty do tego konta nie posiadał. Wszystkie



Zuzanna Januszko / PLSP w Supraślu

pieniądze ze sprzedaży, w gotówce, przechowywał w sobie znanych skrytkach, o których bardzo często zapominał.

Górski przez całe życie nie był w posiadaniu nawet portfela. W garażowym sklepie w centrum wsi zaopatrywał się w chleb i pryte, czasem piwo – na krechę. Ta krecha około piętnastego każdego miesiąca skrętnie podsumowywała dług Górskiego. Póki żyła babka, która „oznaczyła” Górskiego na swojego towarzysza starości, oddawała mu lwią część emerytury. Potem, zdradziwszy mu tuż przed śmiercią, między którymi wykrochmalonymi poszwami schowała oszczędności, spokojnie umarła w tkliwych objęciach wnuka. Były to jedyne czule ramiona, jakie poznała w swoim długim życiu. Po jej śmierci Górski już sam finansował swoje sprawunki. Pozostał sam sobie.

Teraz. Krystian i Sabina

Nowy, niskopodłogowy podmiejski autobus przywiózł na pętlę jedyną pasażerkę. Był to ostatni kurs. Z otwartych drzwi wyloniła się smukła noga Sabiny. Przez ułamek sekundy jej właścicielka zawahała się nad brudnym lustrem kaluży. Poratowała ją dłoń Krystiana. Sabina ominęła mokrą przeszkodę. Te rzadkie gesty rycerskości Krystiana przywracały Sabinie wiarę w ich miłość.

Krystian tamtego dnia był inny. Zazwyczaj pozdrawiał ją przeciągłym gwizdem. Na jej widok twarz mu po szelmowsku jaśniała. Nierzadko w otoczeniu swoich męskich towarzyszy dawał do zrozumienia, że dobrze zna każdy sekret ukryty pod skąpymi, krótkimi spódnicami Sabiny. I owszem, ciało Sabiny nie miało przed nim tajemnic.

Ale tym razem było inaczej. Niespodziewanie objął ją ramieniem, odgarnął długie jasne włosy i z czułością pocałował w szyję. Uwiązał w zapachu gładkiej dziewczęcej skóry. Sabina poczuła wewnątrz ten jedyny w swoim rodzaju przeciąg, który można by odczuć podczas skoku z wieżowca, z tą różnicą, że najlepiej, gdyby ten skok trwał wiecznie.

Objęci oddalili się w stronę łąki Bratkowskiego. Zmierchało. Przedzierali się przez wysokie trawy, odgarniali rękami skłaniające się ku nim musztardowe ostrosłupy nawłoci. Niewrażliwi na lepik trawiastej wilgotności broczyli zanurzeni w swoich myślach. Pierwszy odezwał się Krystian:

– Wyjedźmy stąd, Sabciu. Chcesz? Ty i ja. Mam dość tego syfu tutaj. Pierdolona Dąbrówka! Widzisz to? Jak się tamte panoszą? Ta ich dzieciarnia nawet nam „dzień dobry” nie powie, a po sąsiedzku mieszkają. Ja zapierdalam w brukarstwie po dwieście godzin w sezonie i, kurwa, nawet trzech tysięcy nie wyciągnę, bo się jakaś pizda czepia, że paradując w szpilkach, zębów mało o kostkę nie wybiła. I stary nam wtedy po premiach leci. Bo pindzie się wydaje, że kostka brukowa to płaska jak stół będzie. A potem jej mążus zajeżdża przed chałupę furą za pół miliona i, rozumiesz, Sabciu, podchodzi do majstra i z głupim dobrotliwym uśmiechem rabaty chce od niego kupować. Tak, żeby sprawę załagodzić, jak to mówi. Jedźmy stąd! Razem!

– Krystek, ja lubię moją pracę w drogerii – bąknęła Sabina.

Spuściła oczy i za chwilę zarzuciła mu ręce na szyję. Tak jakby przepraszała.

– Lubisz, lubisz – prychnął.

Odepchnął ją. Odgarnął z czoła czarne wilgotnawe włosy. Ich skręt był wyraźny. Loki pobłyskiwały w poświęcie księżycy. Krystian wiedział, że ma nad Sabiną władzę absolutną.

– Byle co lubisz! – wysyczał. – W dupie byłaś i gównem widziałaś!

Dziewczyna skuliła się, wręcz zrobiła się niższa. Krystian zmienił ton:

– Do Irlandii jedźmy! Sabciu, do Irlandii. Są loty z Lublina, tanie jak barszcz. Zamieszkamy tam razem.

Potem wsunął rękę pod jej zgniłozieloną parkę, fioletową cienką bluzkę i położył swoją dużą, zimną, spracowaną dłoń na szczupłym, ciepłym brzuchu. Przesunął po nim kciukiem. Sabina ponownie poczuła przeciąg.

– Stało się coś?

Krystek ociągał się z odpowiedzią.

– Znowu się zaczęło – wycedził w końcu. – Znowu zaczął do matki przyłazić ten frędzel Mietek. Nienawidzę ich, kurwa, rozumiesz? Nienawidzę! Nie chcę mieszkać już z matką. Muszę wyjechać. Mam dwadzieścia siedem lat. Chcę mieć własny dom, rodzinę. Chcę ciebie. Różnie między nami było, ale już wiem, że chcę z tobą. Mam brata ciotecznego w Dublinie. Pomoże nam. Robotę nagra. Mieszkanie już nawet dla nas ma. W centrum, nad taką rzeką. Zobacz.

Na ekranie telefonu pojawiły się zdjęcia szeregowych kamieniczek: wąziutkie klatki schodowe, tycie ogródki, staromodne kominki. Sabina sama nie wiedziała, czy podobają jej się te obrazki. Przez parę lat dorabiała, sprzątając u tamtych. Polubiła zamaszystość i nowoczesność ichniejszych wnętrz.

Skłamała:

– Bardzo ładne. Drogo?

– Jak będzie robota, to nie będzie problemu. Gorzej, że kuzyn mówi, że muszę mu wysłać kaucję za trzy miesiące z góry. I to wychodzi z kilkanaście tysięcy. Musimy szybko się decydować.

– Ale skąd na to wziąć?!

– On nam da. – Krystian pokazał na lunę księżyca za nimi. – Dziś pełnia. Na pewno go spotkamy. Zmuszę go, żeby mi oddał któryś ze swoich zaskórniaków. Starszy

Mazur po dwóch prytych gadał, że ma tego pełno. Pozakopywane. Gnije to w ziemi, a ta lajza i tak tego nie wyda. Jutro nie będzie o niczym pamiętał. Zresztą, kto mu uwierzy.

Sabina opowiadała później Karinie, że tej niefartownej nocy Krystian wyznał jej miłość. Po raz pierwszy i ostatni. Że brodzili po łące Bratkowskiego i nie mówili nic, a mimo to opowiedzieli sobie całe życie – to minione i to wspólne. I że to wszystko wydarzyło się w blasku księżyca. W jego pełni. Mówiła też, że Krystian chciał tylko pomóc Górskiemu wstać, bo zmartwił się tym jego przesiadywaniem na skraju zbrocza. Sabina zapamiętała rozbudzone oczy Górskiego. Jaskrawiły. Patrzyły, jakby Górski dotarł do kresu swojej wędrówki i wszystko zrozumiał. I Górski, wskutek albo tej iluminacji, albo obsunięcia się mokrej gliny, odchylił się gwałtownie do tyłu, wyrzucił ręce do góry i wygiął się w luk swojego triumfu, ostatecznie odleciał. Razem z Krystianem.

Za trumną Górskiego sześciu mężczyzn niosło okazałe wieńce: profesor matematyki ze stolicy, właściciel firmy informatycznej, starszy Mazur i trzech muzyków. Każdemu z nich inaczej ciążyło sumienie. Kiedy mijali Halinę, konwój przystanął. Mężczyźni skinęli głowami, Halina przyjęła to ze zrozumieniem. Stała naprzeciwko nich. Bezradna. Na wskroś samotna. Mietek Wszelaki wymiłowawszy swoją żonę, Celinę, złapał Halinę w pasie, odwrócił do siebie i spojrział w jej nieobecne oczy. Potem wziął ją pod rękę, by zostawić wszystko za sobą.

Odeszli razem. Niefartowni.

ALEKSANDRA IGRAS

– urodzona w 1981 r. w Lublinie. Absolwentka dziennikarstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Niedgdy pracowała jako copywriter. Od wielu lat przedsiębiorczyni. Jako aktorka amatorka uczestniczyła w kilkuletnim projekcie teatralnym Dzielnicowego Domu Kultury Węgliń – *Matka Polka Teatralna. Konkurs*. Do chwili obecnej autorka trzech opowiadań. Debiutanckie *Od niechcenia* opublikowała na stronie Wydawnictwa j. Kolejne *Pokrzywy* wydrukowano w kwartalniku „Akcent”. *Pokrzywy* zostały również wyróżnione w ogólnopolskim konkursie im. Eugeniusza Paukszty. Prezentowane opowiadanie *Farciarze* to jej trzecia próba prozatorska.



foto. archiwum prywatne autorki